

Chleb nasz powszedni

5 sierpnia 2013

Kościół jest instytucją, której cele nie koncentrują się wokół spraw, nazwijmy to, ziemskich. W sensie „technicznym” jest strukturą organizacyjną, w sensie zaś metafizycznym dbać ma o zbawienie obecnych i potencjalnych wiernych. I to właśnie temu zadaniu podporządkowane jest sedno jego aktywności.

Z tego względu próby przykrojenia misji, działań, dogmatyki i przesłania Kościoła do ram programów politycznych, projektów społecznych, a tym bardziej bieżących problemów, są w sferze praktyki chybione, gdyż ich adresat nie tym się zajmuje. Są również nieuczciwe etycznie, gdyż bazują na instrumentalnym, czysto pragmatycznym podejściu, które oznacza po prostu brak szacunku wobec podmiotu takich starań. Niezależnie, czy sojusznikiem Kościoła pragnie zostać prawica, czy do swych celów usiłuje go wykorzystać lewica, są to zazwyczaj próby przejęcia czy podczepienia się pod strukturę stworzoną i przeznaczoną do celów zgoła innych.

Nie sposób jednak abstrahować od dwóch kwestii. Chrześcijaństwo, którego wyrazicielem i głosicielem jest m.in. instytucjonalny Kościół, wpłynęło swoim przesłaniem, zasadami wiary i wskazaniem moralnymi na znaczącą część światowego „etosu” zarówno indywidualnego, jak i publicznego, a w naszym kręgu kulturowym jest jedną z głównych „idei” – nawet w krajach, które dziś są silnie zsekularyzowane, a katolicyzm stanowi w nich religię mniejszościową. Zresztą, samo pojęcie sekularyzacji jest dość zwodnicze, bowiem w skali globu – nie zaś Europy Zachodniej – liczba wiernych wcale nie maleje znacząco. W dodatku, Kościół jest istotnym i czynnym podmiotem życia publicznego, a jego głos w kwestiach wykraczających poza wąsko i dosłownie pojmowaną sferę wiary pozostaje wciąż duży – w krajach takich jak Polska nierzadko wręcz kluczowy. Nie jest zatem obojętne – niezależnie, czy spoglądamy na problem z pozycji ludzi wierzących i związanych z Kościołem, czy też

jako adepci innego wyznania, ateści (bądź agnostycy) lub wręcz krytycy owej instytucji – to, jakie stanowisko w sprawach „przyziemnych” zajmuje hierarchia lub szeregowi wierni.

Jak wspomniałem, nieuczciwa bywa często postawa nacechowana próbami przeciągania Kościoła na swoją stronę, podpierania się nim w kwestiach „ziemskich” czy uprawomocniania własnych idei za pomocą udawania, iż jest się osobistym przyjacielem i powiernikiem Pana Boga. Jest to również nieco jałowe, gdyż o ile w kwestii wiary czy w bezpośrednio związanej z nią i dającej się jasno ująć sferze moralności Kościół zajmuje wyraźne stanowisko (przykładowo, bezwarunkowo potępia zdradę małżonka), o tyle w sprawach społecznych czy politycznych nie sposób precyzyjnie powiedzieć, jakie ono jest. Jeśli papież czy pomniejsi hierarchowie zalecają dbać o godność każdego człowieka, to jednak istnieje całe mnóstwo dylematów, w przypadku których owo wezwanie nie przekłada się na jasno zdefiniowany konkret.

Nie wiemy zatem na przykład, czy Kościół sądzi, iż kobieta powracająca do pracy po urlopie macierzyńskim powinna być w każdym kraju, ustroju politycznym i rodzaju działalności gospodarczej przyjęta na wcześniej zajmowane stanowisko, czy też pracodawca może z jakiegoś powodu odmówić jej tego prawa i wysłać na bezrobocie. To, co nosi nazwę „katolickiej nauki społecznej” zawiera wiele wskazań i opinii, ale niekoniecznie precyzyjnych na poziomie szczegółowych rozwiązań. Nie ma powodu, by formułować z tego tytułu jakieś pretensje. Skoro nie oczekujemy od związków zawodowych, że będą dbały o zbawienie naszych dusz, tak samo nie powinniśmy zakładać, iż papież prześle każdemu z krajów mniej lub bardziej katolickich drobiazgowo uwagi do projektu Kodeksu Pracy.

Co więcej, ukierunkowanie aktywności Kościoła na kwestie „nieziemskie”, sprawia, iż jest on instytucją funkcjonującą poza, a raczej ponad wieloma podziałami związanymi ze społeczną aktywnością człowieka. Skutkuje to istnieniem w

łonie Kościoła przeróżnych środowisk ideowych – o ile katolicy mają moralny obowiązek sprzeciwiać się np. aborcji, o tyle ich duchowi przywódcy nie wymagają od nich popierania podatku progresywnego czy liniowego. A zatem pełnoprawnymi wiernymi są zarówno katolicy liberałowie, jak i osoby przekonane, że zamożni powinni płacić wyższe podatki, aby państwo mogło sfinansować choćby egalitarny dostęp do edukacji czy leczenia. Z tego to powodu nie sposób w wielu przypadkach powiedzieć, czy Kościół jest naszym sojusznikiem, czy też przeciwnikiem na płaszczyźnie projektów i inicjatyw społecznych. Nie wiemy tego także my, prezentując na łamach „Obywatela” różne pomysły, inicjatywy, opinie i stanowiska.

Mamy natomiast coraz częściej do czynienia z próbami uprawomocnienia autorytetem Kościoła takich przedsięwzięć ze sfery idei i praktyki, które w naszym przekonaniu są społecznie szkodliwe. Mam na myśli aktywność środowisk opowiadających się za daleko idącym liberalizmem gospodarczym. Dawniej, na przykład w XIX wieku, ideologia liberalizmu gospodarczego była podpierana głównie argumentami rzekomo naukowymi (jakoby taki system był „obiektywnie słuszny” i najkorzystniejszy społecznie) lub bazowała na etyce „zdroworozsądkowej” (każdy ma prawo np. tak rozporządzać swoją własnością, jak mu się podoba, gdyż to przecież właśnie jego własność, nie zaś cudza). Natomiast dziś znacząca część środowisk wolnorynkowych, ze szczególnym uwzględnieniem tych najbardziej skrajnych, odwołuje się właśnie do chrześcijaństwa i katolicyzmu, twierdząc, iż Biblia, Ojcowie Kościoła, papieże itd., uznawali gospodarkę rynkową w jej jak najmniej regulowanej postaci za optymalną, sprawiedliwą, godną i jedynie słuszną.

Ten mariaż wartości katolickich (lub tylko chrześcijańskich) z agresywną promocją liberalizmu gospodarczego widać szczególnie mocno w anglosaskim neokonserwatyzmie, który w ostatnich dekadach w wielu częściach świata przetoczył się jak walec po innych ideologiach społeczno-gospodarczych. W Polsce zdobył

wielkie wpływy intelektualne w środowiskach prawicy i w mediach katolickich, jak również w polityce gospodarczej. Liberałom „bezbożnym”, czyli laickim, jak Leszek Balcerowicz czy środowisko „Gazety Wyborczej”, sekundują liberałowie „pobożni”, jak posłowie AWS-u i PiS-u lub związani wprost z Kościołem, np. publicyści poczytnego katolickiego tygodnika „Gość Niedzielny”.

Nie odmawiamy komukolwiek, a więc i katolikom, prawa do posiadania poglądów liberalnych w sferze gospodarczej. Natomiast sprzeciwiamy się fałszywej wykładni czy choćby próbie stworzenia wrażenia, iż stanowisko takie jest jedynym uprawnionym na gruncie katolicyzmu. To po pierwsze nieuczciwe, bo jak wspomniałem – nie istnieje żadne szczegółowe stanowisko Kościoła w sferze rozwiązań gospodarczych. Po drugie – jest to oczywisty fałsz, gdyż równie uprawnione i często spotykane na gruncie katolicyzmu są postawy znacznie bardziej „socjalne”, krytyczne wobec przekonania, iż nieskrępowany wolny rynek to system optymalny i sprawiedliwy, że etyka kapitalizmu idealnie współgra z etyką katolicyzmu.

Dlatego w niniejszej odsłonie „Naszych Tradycji” prezentujemy trzy teksty, które prezentują stanowisko odmienne. Tym razem zresztą nagłówek „nasze tradycje” należy wziąć w cudzysłów i nie traktować go dosłownie, gdyż zamieszczone obok teksty odwołują się w 2/3 nie tyle do tradycji „obywatelskich”, ile do takich, które na płaszczyźnie pozagospodarczej bliższe są właśnie wielu wolnorynkowym katolikom. Autorzy dwóch z nich – Stefan Wszyński i Wojciech Zaleski – są z punktu widzenia linii programowej „Obywatela” raczej sojusznikiem incydentalnym niż bliskim całokształtowi tych tradycji, do których zazwyczaj się odwołujemy. W przypadku pierwszego pozostajemy bowiem sceptyczni m.in. w kwestii jego ostrożnej i dwuznacznej postawy wobec „Solidarności” z lat 1980-81. Drugi z kolei nie wpisuje się w „obywatelski” etos ze względu na swoją przedwojenną przynależność polityczną.

Pierwszego z autorów nie trzeba właściwie przedstawiać, bo

postać „Prymasa Tysiąclecia” jest dobrze znana. Może z tym drobnym, a znaczącym w kontekście prezentowanego tekstu wyjątkiem, że mało kto pamięta, iż kardynał Wyszyński był w młodości nie tylko pasjonatem tzw. katolicyzmu społecznego, ale także liderem Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego we Włocławku oraz duszpasterzem Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Ciekawe są też losy prezentowanego tekstu. Choć ze względu na PRL-owską cenzurę ukazał się on dopiero w III RP, to powstał w okresie II wojny światowej, prawdopodobnie w roku 1942. Na tak gruntowną krytykę kapitalizmu ks. Wyszyński zdobył się zatem w sytuacji, gdy Polska była okupowana przez totalitarny hitleryzm, a od Wschodu zagrażał jej totalizm komunistyczny, a więc „normalne” realia kapitalistyczne nie stanowiły wówczas ani bieżącego problemu, ani też kluczowego zagrożenia. Tekstu kardynała Wyszyńskiego nie trzeba komentować, gdyż jego wymowa jest jasna, a zawarte w nim sformułowania wprost wymierzone w wiele poglądów, czy raczej dogmatów liberalizmu gospodarczego.

Drugi z autorów jest znacznie mniej znany, a właściwie niemal zupełnie zapomniany. Wojciech Zaleski (1906-61) był przed wojną działaczem nacjonalistycznym, jednym z ekspertów ekonomicznych Stronnictwa Narodowego. Później należał do założycieli Obozu Narodowo-Radykalnego, wiążąc się z mniej totalistyczną jego „frakcją”, ONR-ABC. Napisał wówczas głośną w ruchu narodowym książkę „Polska bez proletariatu”, w której koncepcjom kapitalistycznym i komunistycznym przeciwstawił „trzecią drogę” w postaci ustroju bazującego na rozpowszechnionej drobnej własności środków produkcji, tak aby każdy był nie wyzyskiwaczem innych lub nie wyzyskiwanym przez kogoś, lecz właścicielem lub współwłaścicielem swego warsztatu pracy. W czasie wojny Zaleski związał się z podziemną Konfederacją Narodu, zaś po wkroczeniu Sowietów uciekł za granicę. Przebywał m.in. we Francji, pracując jako ekspert instytucji zajmujących się wdrażaniem Planu Marshalla. Na emigracji współpracował z polskimi środowiskami chadeckimi.

Prezentowany tekst pochodzi właśnie z okresu powojennego. Jest ciekawy nie tylko dlatego, że prezentuje antyliberalne oblicze katolicyzmu i chrześcijańskiej myśli społecznej, ale także z uwagi na konkretne zawarte tam wizje i postulaty. Zaleski po pierwsze broni związków zawodowych, lecz nie tylko w roli obrońcy świata pracy. Idzie krok dalej i postuluje ich rolę jako czynnika współzarządzającego w imieniu pracowników zakładem pracy oraz dążącego do upowszechnienia współwłasności pracowniczej zamiast indywidualnej własności kapitalistycznej. Po drugie zaś, ten prawicowy ekonomista pozytywnie wypowiada się o czymś, co dla wszelkiej maści liberałów stanowi dowód sympatii komunistycznych, mianowicie o planowaniu gospodarczym. Oczywiście Zaleski nie wychwala „centralnego planowania” w stylu sowieckim – nb. warto pamiętać, że ekonomiczne absurdy „realnego socjalizmu” skutecznie na wiele lat skompromitowały samą ideę planowania gospodarczego, podobnie jak wiele innych godnych uwagi – lecz aktywną, szeroko zakrojoną politykę inwestycyjną państwa i instytucji publicznych. Byłoby to zapewne – sam autor nie podaje konkretów – planowanie znane w Polsce choćby z okresu międzywojnia, gdy sanacyjny etatyzm gospodarczy doprowadził do powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego, a więc inwestycji, dzięki której ubogie i zacofane regiony kraju przeżyły prawdziwy skok cywilizacyjny (gdy efektem dotychczasowej gospodarki wolnorynkowej był tamże jedynie przydomowy wypas gęsi). Ten właśnie aspekt jest szczególnie wart uwagi w artykule osoby, której tyleż poglądy, co i biografia nie pozwalają podejrzewać o najmniejsze sympatie komunistyczne.

Trzeci z prezentowanych tekstów jest autorstwa księdza Jana Zieji, znanego, wręcz legendarnego kapłana-społecznika (jego sylwetkę obszernie prezentowaliśmy w nr 45). Choć z dorobku tego właśnie autora spośród całej trójki najłatwiej byłoby wybrać tyrady przeciwko liberalnym koncepcjom gospodarczym i kapitalizmowi, to celowo sięgnęliśmy po tekst odnoszący się do owego problemu z nieco innego stanowiska, mianowicie ewangeliczno-moralnego. Środowiska liberalno-katolickie

chętnie sięgają po argumentację, jakoby wolny rynek był ekonomicznie sprawiedliwy oraz moralnie jeśli nie idealny, to przynajmniej neutralny. Przekonują oni, że ci, którzy na owym rynku sobie nie radzą, zazwyczaj „sami są winni”, gdyż brakuje im chęci, woli, pracowitości itp. Za wzniosłymi hasłami religijnymi skrywany jest tu nierzadko – i nie zawsze starannie – egoizm typowy dla ideologii liberalnej. Egoizm przejawiający się brakiem zainteresowania nie tylko społecznymi skutkami operacji gospodarczych, ale także przyczynami indywidualnych niepowodzeń. Ksiądz Zieja tymczasem wskazuje, że moralnym obowiązkiem katolika – ponad podziałami dotyczącymi się poglądów na różne kwestie, w tym i gospodarcze – jest dogłębne zainteresowanie losem bliźniego, przyczynami jego problemów czy wręcz upadku. Warto tego rodzaju „kurację” polecić wolnorynkowym katolikom, którzy potrafią się niemal do łez rozczulać nad „ciemieżonymi” milionerami – płatnikami „horrendalnych” podatków, natomiast dla ludzi z dołu drabiny społecznej mają nierzadko w najlepszym razie obojętność i lekceważenie, w najgorszym zaś – z trudem skrywaną pogardę.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [Nowy Obywatel](#)